

*Dydnia, wieczór tego samego dnia*  
*Czerwona izba we dworze*

Osoba pana starosty Piotra z Ossy Oźgi pogodziła braci o wiele skuteczniej niż wszystkie trybunały, rękojmie i królewskie zastawy – bodaj nawet na milion złotych. Jeszcze tego samego wieczora zasiedli w czerwonej izbie przy pucharach węgryzyna, utoczonego świeżo przez dworskiego podczaszego i podanego przez, było nie było, cudowną Jadwinię. Jednak nawet jej niewinne lica nie rozchmurzyły młodych Dydyńskich. Postać pana trembowelskiego kładła się takim cieniem na ich obliczach, jakby nagle zaczęło się zaćmienie Słońca wróżące wojny i zarazy, a dodatkowo wszystkie świece w izbie zgasły. Fakt, iż ojciec wyznaczył Oźgę na egzekutora testamentu (który zresztą spisywał właśnie w jego obecności i za zamkniętymi drzwiami), znaczył, iż widoki na ewentualną rewizję jakichś jego postanowień były równie pomysłne jak przyszłość skazańca oddanego w ręce małodobrego mistrza na miejskim szafocie.

Piotr z Ossy Oźga – to była stanowczo nietuzinkowa postać, nawet wśród tak mało tuzinkowych obywateli województwa ruskiego. Otóż spróbujmy, drogi Czytelniku, wyobrazić sobie szlachcica wyjadacza, jowialistę, do różańca i do tańca, mocnego w gębie i pięści oraz słynnego na całe województwo ruskie z wyjątkowo tęgiego łba. Dodać należy także, że był to zawołany orator i statysta sejmikowy, pierwszej ligi gracz na szable, nieostatni też gospodarz, nawigator – słowem, człek, który zawsze dobrze czuł się w swojej roli. Czy to na hulaszczym bankiecie, czy w lwowskim zamtuzie; zarówno marszałkując na sejmiku, zasiadając w sądach, a nawet odprawiając poselstwa do Wielkiej Porty.

Oźga umiał gadać z każdym. Z kmieciem czy z miejskim synkiem, ze szlachcicem i gołotą. A poza tym: z królem, z sułtanem, z magnatem i prostym Żydem. Sławny był nie tylko z niezwykłych przymiotów fantazji i charakteru, ale także z tego, że posiadał całą flotyllę statków wożących zboże do Gdańska, a na

pospolitym ruszeniu rozpinał namiot wart w Stambule coś koło ośmiuset złotych. Miał dwie stadniny, a w nich same czworonożne cudeńka, ale jeździł na starym wałachu, dożywotniku, który był zresztą jego ulubieńcem. Miał także, jak powiadano, w domu dwieście ksiąg dużych i sto małych, co mu jednało reputację niepospolitego człowieka, a jakby tego było mało, trzymał w Trembowli papugi, z których jedna, zwana Magnusem, przepowiadała przyszłość, a druga, na którą wołano Kraft, potrafiła miotać z dzioba najohydniejsze przekleństwa i kalumnie.

To jednak nie były jeszcze przymioty, które wyróżniałyby pana starostę spośród innych opojów, warcholów i krzykaczy, to jest obywateli województwa ruskiego. Była to przecież taka prowincja Rzeczypospolitej, gdzie pan Fredro trzymał za służbę i kompana Murzyna, który nauczył się polskiej mowy i obyczajów. I przebrawszy się w żupan oraz czamare, wzniecał bójki i zwady w karczmach, a ponadto podawał się nieprawnie za szlachcica polskiego. Z kolei pan Jan Golski łapał i więził w Kobyłowlkach każdego podróżnego do czasu, aż ten szczegółowo i barwnie opowiedział mu wszystko, co wiedział i co widział, kto się urodził, a kto umarł, kto co sprzedał czy kupił, kto się ożenił i kto kogo pozywa do sądów. Nic zatem dziwnego, że po takiej gościnie każdy, komu udało się wyrwać z kobyłowlackiego dworu, biegł prosto do grodu w Trembowli i tam zwierniał się ze swoich wrażeń w sążnistych protestacjach i pozwach. Obywatele ziemi przemyskiej i sanockiej to byli, w rzeczy samej, oryginałowie i ludzie zgoła mało tuzinkowi. Jeden w drugiego awanturnik, rębajło i zawalidroga. Albo wicherzyciel i sejmikowy krzykacz; jeśli nie krzykacz, to polityczny statysta. A jak nie statysta, to przynajmniej pijanica. Jeśli zaś ktoś nie pił, a zapewniam, że czasem i takowi się zdarzali, tedy najpewniej musiał być z niego albo ksiądz, albo – znacznie częściej – melancholik.

W tej całej szlacheckiej rzeszy Piotr Oźga wyróżniał się jednak czymś, co doprowadzało do rozpaczki młodych Dydyńskich. Otóż umiał wybornie przeprowadzać egzekucje sądowe. Sam jeden dokonał ich tyle, co wszyscy współcześni mu starostowie

razem wzięci. A na dodatek zawsze przeprowadzał je tak gładko i skutecznie, że nikt do tej pory nie pozywał go na trybunał. Być może dlatego, że zabierał się do dzieła po sąsiedzku, po ludzku, w familiarny poniekąd sposób. Zamiast od razu wysłać na dwory i zameczki kupy swawolnego hultajstwa, które tylko na papierze zwały się milicją starościńską, a w księgach grodzkich rabusiami, hultajstwem i bandami wisielców, najpierw napominał pozwanego jak dobrotliwy dziad albo ojciec. Czekał też zwykle na powtórne mandaty królewskie i nakazy trybunalskie, aby czasem nie padł na niego nawet cień oskarżenia o samowolę.

I właśnie dlatego Przeclaw i Jacek jednego mogli być pewni: jeśli starosta trembowelski wyznaczony został na egzekutora testamentu ich ojca, tedy jego postanowienia wypełni we wszystkich szczegółach, choćby nawet jutro miał nadejść potop.

Nic więc dziwnego, że bracia mieli miny raczej nietęgę, całkiem jak chudopachołkowie, którzy właśnie dowiedzieli się, że przypadkiem zbrzuchacili ukochaną córeczkę Radziwiłła albo Chodkiewicza. Bo co będzie, jeśli ojciec podzieli majątek inaczej, niż sobie życzyli? Albo ustanowi – dajmy na to – kuratora? Na starostę trembowelskiego nie było mocnych.

Burcząc i burząc się na ojcowską wolę, zalewali zatem robaka winem tak zacie, że czerwonego trunku przepadającego w ich gardłach starczyłoby na utopienie wszystkich pluskiew gnieźdzących się w chłopskich chałupach w Dydni.

– Chyba nas ojciec nie wydziedziczy – jęknął w końcu Przeclaw. – Przecie my kość z jego kości.

– To po co wezwał starostę?

– Abyś mej krwi nie przelewał, brat. Albo to pan stolnik nie wie, jaki z ciebie gwałtownik? Starosta to rękojmia, że nie zamachniesz się na moją część!

– Nie moja wina, że cię ojciec zawsze wywyższał. Co, nie pamiętasz, że zanim cię wysłał do szkół do Krakowa, puścił ci w dzierzawę Temeszów, podczas kiedy ja musiałem zadowolić się garścią dukatów z jego skrzyni!

– Ale sprawił ci poczet husarski, brat. Nie pamiętasz? Wyprawił cię jak wojewodzica do chorągwi. Cztery konie ci ufundował, zbroje nowe i tabory. Co kosztowało bez mała tysiąc złotych! Kto w husarii od razu idzie służyć, brat? Gdzie byś zasługi zdobywał, gdyby nie ojca pieniądze? U wolontarzy? Albo i jako pacholek! A teraz pewnie jeszcze chciałbyś dostać Dydnię ze wszystkimi rolami!

– A pewnie, że chciałbym, bo jestem starszy! Nie bój nic – ustąpię ci pół na pół z wioski. Zostawię ci Falejówkę, Temeszów i Niewistkę. A sobie wezmę jeszcze Jabłonicę i Krzemieną!

– Jam jest młodszy, więc wedle prawa gniazdo rodowe mi przynależy! – zagrmiał Przeclaw, uderzając zaciśniętą w kulał dłońią w otwartą rękę. – Ja zabieram Dydnię i Krzemieną. Sam się kontentuj Temeszowem i Falejówką! Jestem pewien, że pan ojciec podzieli nas sprawiedliwie, co nie znaczy, że po równo. Bo jedna wioska drugiej nie dostanie. W Dydni i Krzemiennej są takie role, że i co roku obsiewać możesz je pszenicą, cebula zaś na byle zagonie urośnie wielka jak dynia! A w Temeszowie byle rzepa pognije na błocie!

– Zobaczmy, co ojciec postanowi – mruknął Jacek, wskazując kciukiem drzwi do sąsiedniej komory. – Póki co żniwa za pasem, a nie widzę, żebyś gromadę zbierał z kosami. Zmarnieje żyto na polach, to cię po sprawiedliwości bizunem oćwiczę, bo o gospodarstwo nie dbasz!

– Jak ty na mnie bizuna podniesiesz, to ja ci w łeb z pistoletu wypalę! Nie licząc, że za oćwiczenie Tobołki pójdziesz pod sąd, brat! Miałeś jedną sprawę z Zawiszanką, gdzie ci pomógł Dworycki, aż ojciec świecił za ciebie oczami po sądach! Dojdzie ci teraz znieważenie sługi brata!

Jacek machnął ręką w powietrzu, chcąc dać młodszemu w gębę. Chybił, bo Przeclaw się uchylił; po latach nabrał kociej zwinności i umiał bez szwanku wywinąć się spod karcącej ręki starszego brata.

– Lepiej zbieraj na palestrantów! – syknął. – Bo może ojciec tylko jednemu z nas wioski i role zapisał, a drugiemu za ledwie

niecio gotowizny. Nie uważasz, że dlatego właśnie starostę wezwał, aby imć Ożga powstrzymał kóregoś z nas od gwałtów, kiedy już się testament otworzy? I okaże się, że nasze działy są nierówne?

– Gdyby ojciec wiedział, co ty chcesz uczynić z naszym rodzimym gniazdem, toby ci nie tylko Dydni, ale nawet spłachetka z chrustem nie zapisał!

– Skąd ty wiesz, co ja chcę uczynić?

– Chcesz to wszystko sprzedać, brat! Dydnię, Niewistkę! I kupić sobie klucz hen na Ukrainie!

– Kto ci tych głupot naopowiadał?! – zapytał Jacek, a jego oczy zwęziły się jak szparki.

– Twój pocztowy! Dość pana Jędrzeja Herakliusza winem uczęstować, a śpiewa jak kurant z zegarowej wieży. Wszystko mi przekazał, coś w obozie mówił.

– Pan Świrski wart jest w gębę – prychnął Jacek. – I tak mi się widzi, że chyba powiemy sobie z nim wkrótce do widzenia! A to, co zrobię z moją częścią, to już nie twoja sprawa!

– Gdyby to ojciec wiedział, trupem by padł na miejscu! Że ty jego ukochaną, umiłowaną ziemię chcesz sprzedać, pozbyć się rodzinnej wioski... Łajno by ci zapisał i dwóch starych dziadów zamiast Niewistki! Ładnie odwdzięczyłeś się za poczet i lata starań, abys został możnym panem. Zamiast się modlić o uzdrowienie pana ojca, ty wyprzedajesz jego substytucję!

– Zamilcz! – Jacek porwał się z za stołu. Sięgnął do lewego boku, ale nie miał tam szabli ani korda. – Modlę się o jego zdrowie każdej nocy, którą ty spędzasz na pijaństwie i łajdaczeniu się z dziewczkami! Z tą swoją ładacznicą ze świńskiego barłogu! A teraz, po ostatniej rozmowie, wnoszę modły o odpuszczenie grzechów naszego ojca, o których sam nam dzisiaj powiedział! Za duszę Michała Dydyńskiego.

– Lepsza ładacznica niż panna banitka Zawiszanka! – warknął Przeclaw. – Policzymy się jeszcze!

– O, na pewno! Jak tylko starosta odjedzie!

Zapadła cisza. Bracia spoglądali na siebie z nienawiścią.

– Kto by się spodziewał, że nasz pan ojciec brata własnego Moskałom sprzedał. O ile oczywiście nie słabuje na głowę – mruknął Przeclaw.

– Ja myślę, że majaczy, bo chory – podsumował Jacek. – Jeśli rzecz się rozejdzie w Sanockiem, psi zjedzą naszą reputację.

– Phi. Jakbyś ty kiedyś w ogóle miał reputację, co, brat?

– Dlatego proponuję, abyśmy wystawili w kościele kaplicę albo ołtarzyk z intencją spokoju duszy stryja Michała. Dodamy do tego ze dwieście złotych dla ojców franciszkanów z Sano-ka na modły za odpuszczenie tego grzechu i mszę zamówimy. U naszego proboszcza.

– A może pogrzeb byśmy urządzili stryjowi?

– Kiedy ciała nie ma.

– Można i z pustą trumną. Jak panu Wawrzyńcowi Wesslowi, którego porąbali na sztuki bracia Rytarowscy i zagubili głowę.

– Co pogrzeb, to wydatek – rzekł zapobiegliwie Jacek. – Do diabła, nie jesteśmy przecież winni tej zdradzie! Msza, datek i kaplica. I będzie dość. Resztę niechaj tam już pan ojciec ze stryjem w niebie załatwiają.

Drzwi otwarły się z trzaskiem tak niespodziewanie, że Jacek chwycił się za bok i zaraz opuścił rękę, bo przecież nie miał tam szabli. Na progu stanął człowiek w kołpaku i delii, szeroki w barach jak góra i podobnie wyniosłej postawy. Oblicze jednak miał poczciwe i dobroduszne, ogorzałe od wiatru i wina, a broda dodawała mu powagi i dostojeństwa. Wypisz wymaluj, postać wyjęta z księgi *De optimo senatore* Wawrzyńca Goślickiego.

Bracia zerwali się na nogi. Pokłonili człowiekowi, w którego rękach spoczywał ich przyszły los.

– Panowie Dydyńscy, mili barankowie i rybeńki moje! – zagrział Piotr Oźga tak familiarnym basem, że prawie poruszyły się wąsate portrety na ścianach. – Wasz ojciec kona... Tak, dobrze mówię! Wydaje ostatnie tchnienie, leży jak niebożątka boże. A jego dusza już prawie w rękach Pana.

– Tes... – odważył się pisnąć Przeclaw. Źle zrobił, bo bystre oko starosty od razu spoczęło na jego postaci.

– Toć ja ci prawię, rybeńko, że pan rodzic świata tego nie widzi, już oczy mu się bielmem powlekają, a ty, panie kochaneńku, zamiast do ręki się cisnąć i modlitwy wznosić, pytasz mnie o papiery i ostatnią wolę? Nie za wcześniej aby, rybeńko? Wiesz, jak się to nazywa, rybeńko? Nie wiesz? Naprawdę nie wiesz? Dobrze! W takim razie powiem ci, jak się to nazywa: czarna niewdzięczność. Za ojcowskie przywiązanie i serce, które ci, kochaneńku, przez tyle lat okazywał. A teraz biegiem mi, rybeńki, do alkierza, panu ojcu się pokłonić i paciorek zmówić. Póki jeszcze dyszy!

Ze starostą trudno było dyskutować. Zwłaszcza że miał rację. Skarceni jak żacy na pierwszej lekcji, młodzi Dydyńscy pognali do alkierza. Tu wokół łoża starego stolnika zgromadzili się wszyscy, którzy mieli coś do powiedzenia we dworze: brat Miechowita, pan Damazy, dwóch pacholków i trzy służebne – Jadwinia, Hetka i Mironowa.

A Aleksander Dydyński leżał nieruchomo jak anioł z obcięzonymi skrzydłami w białej pościeli. Przeclaw rzucił się do jego prawej ręki, Jacek do lewej. Myśleli, że ojciec skonał, ale mylili się. Stary stolnik oddychał z trudem, ale nie wyglądało na to, aby władał rękoma ani był świadomy tego, co rozgrywało się w alkierzu. Spod półprzymkniętych powiek płynęły łzy.

– Co się stało!? – wybuchnął Przeclaw. – Mości panie starosto... Jeszcze parę godzin temu mówił z nami, a teraz... Leży jak kłoda!

– Zabiły go grzechy młodości – rzekł starosta i przeżegnał się zamasyście. – Dobrze mówię! Występki sumienia szarpały go jak wilki. I rozszarpały na strzępy. Taki już jego los. Taki los każdego człowieka. Pomódlcie się za niego, póki jeszcze dycha.

Jacek padł na kolana i złożył ręce. A kiedy obejrzał się na Przeclawą, dostrzegł, że z jego oczu sączą się łzy.

Brat płakał jak małe dziecko. Szlochał bezradnie.

Jacek nie mógł pójść w jego ślady. Nie czuł nic.